

Dwie piękne historye
o
Bruncwiku i Sztylfrydzie



Burza na morzu.

Cena 40 hal. — (35 fen.)

BIAŁA 1908.

KUBACZKA & LANG.

Księgarnia, skład nut, papieru i obrazów.

Z drukarni A. Mädlera w Białej.

Zbiór ciekawych opowiadań. Tomik I.

Dwie piękne historye

o księciu

BRUNCWIKU

i ojcu jego

SZTYLFRYDZIE.

(opowiedziane według wydania czeskiego.)

Wydanie trzecie.



Biała 1908.

Kubaczka & Lang.

Księgarnia, skład nut, papieru i obrazów.

Z drukarni A. Mädlera w Białej.

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

BIBLIOTEKA

100-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

Przedruk wzbroniony.

23.388

PIERWSZA HISTORIA.

O księciu Sztylfrydzie ojcu Bruncwika.

Żył w sarmackiej ziemi jeden książę, który się nazywał Sztylfryd. Był ten pan woli nader silnej i wiadomo o nim, że co postanowił, tego też dokonał. Miał żonę bardzo piękną, która była córką króla Kam-perskiego i zwała się Teodorą. Pan Bóg obdarzył ich synem którego nazwali Brunc-wikiem. Pewnego razu naradzał się Sztylfryd ze swoją małżonką i rzekł jej te słowa:

— Wiesz moja najmilsza, że przodkowie nasi nałożyli na nas obowiązek, abyśmy, gdzie tylko można zdobywali dla naszego nazwiska cześć i dobre imię. — A przeto postanowiłem sobie wyjechać w świat i prędzej nie wrócić dopóki dla mego kraju i dla mego nazwiska większej sławy nie zdobędę, choćbym to nawet gardłem przyplacić musiał. Kociół bowiem, który na mej tarczy noszę, już mi się bardzo sprzykrzył; a więc postanowiłem sobie, albo kociół stracić, albo lwa na tarczy przynieść.

I stało się, że powierzył kraj i poddanych swoim wiernym przyjaciółom i wnet potem odjechał w świat daleki; zaś towarzyszącej swojej podróży ostro przykazał, aby go nigdy księciem nie nazywali. Jeździł tedy po różnych królewskich i książęcych dworach, a nigdzie nie znalazł takiego, coby mu w waleczności i rycerskości był dorównał.

I szedł ciągle w dalsze kraje, aż wreszcie trafił do króla Neapolitańskiego, który się nazywał Astronomus; zgłosił się do służby na jego dworze a król Astronomus zaraz też chętnie kazał zapisać go w poczet swojego rycerstwa.

Rozpoczął tedy służyć królowi z wielką pilnością a król widząc to, polubił go bardzo i za swego najlepszego doradcę go uważał.

Atoli jednego razu król Angielski, który nazywał się Filozofus, pokłócił się z królem Astronomem i począł jego ziemię niszczyć i pustoszyć a jego ludzi uprowadzał do niewoli. — Widząc Sztylfryd taką krzywdę, rzekł do króla Astronoma te słowa:

— Miłościwy królu, widzisz przecie jakie bezprawia dotyczą twoich biednych poddanych, a ty nie chcesz ich bronić; zaiste nie jesteś godzien aby dobrzy ludzie żyli pod twojem berłem.

Na to odpowiedział król:

— Sztylfrydzio rycerzu miły — rodem i herbem równy jestem królowi Angielskiemu, ale bogactwem nie mogę mu dorównać, dla tego ostatecznie będę musiał część kraju mojego odstąpić.

Zaś na to odrzekł Sztylfryd:

— Królu miłościwy, zaprawdę powiadam ci, że lepiej byłoby, gdybyś razem z nami śmiercią rycerską zginął, aniżeli masz żyć w hańbie i pogardzie; a jeżeli królu miłościwy zechcesz mnie posłuchać, to dam ci jedną taką radę za którą mi wdzięcznym będziesz.

Król na to odrzekł:

— Choć boję się z nim wojować, to rady twojej chcę przecież wysłuchać.

Sztylfryd odrzekł:

— Moja rada jest taka: — Każ zwołać wszystkich rycerzy, którzy zostają pod twoim rozkazem a wyciągnij z nimi na pole walki przeciw królowi Angielskiemu.

Tedy z rozkazu królewskiego uzbroiło się całe rycerstwo a na jego czele wyciągnął król przeciw nieprzyjacielowi. Stanawszy na polu walki i ujrawszy wojska nieprzyjacielskie kazał król przywołać Sztylfryda i rzekł do niego:

— Sztylfrydzie rycerzu, chcesz nam radzić jak najlepiej a sam przecież dobrze widzisz, że król Angielski ma trzy razy tyle wojska co my.

A na to Sztylfryd odpowiedział:

— Ponieważ się z nim bić nie chcesz, więc chcę dać ci inną radę. Rozkaż zawołać twego pisarza i każ mu taki list napisać:

„Ty królu Angielski Filozofie, niszczysz bezprawnie ludzi moich, otóż wiem, że przeciw tej napaści postanowiłem się bronić. Dla tego bądź tak dobry a wybierz z pomiędzy twojego wojska dwa tysiące koni, które najlepiej są osiodłane i każ przywiązać każdemu do siodła tysiąc dukatów, a gdy to już uczynisz, — wtenczas wybierz z twego wojska dwunastu najwaleczniejszych rycerzy lub książąt a ja wybiorę tylko jednego z moich rycerzy i rozkażę mu bić się pojedynczo z tymi dwunastu rycerzami. A jeżeli ci twoi rycerze mojego jednego zwyciężą, tedy te konie zabierzesz a ja się tobie z całym mojem królestwem poddam. Jeżeli zaś Bóg wszechmocny memu rycerzowi dopomoże, to w takim razie ty będziesz musiał się poddać.“

Tak zakończył się ten list, a król rozmyślając nad nim rzekł:

— Miły Sztylfrydzie, wdałbym ja się w sprawę zanadto ciężką gdyż nie jest to łatwo, aby jeden mógł dwunastu pokonać.

I odrzekł Sztylfryd :

— Miłościwy królu, ja jestem tym rycerzem, który wezwie Pana Boga na pomoc i tych dwunastu przemoże. A więc królu miły bądź dobrej myśli i pokładaj nadzieję w Bogu sprawiedliwym, który nam przeciw tej nieprawnej napaści dopomoże.

Wysłuchał go król i posłał ten list królowi Angielskiemu.

Przyjął list król Angielski a przeczytawszy go począł śmiać się z niego serdecznie; zwołał jednakże swoją radę wojenną i pokazał jej list odebrany a wtedy rada tak się odezwała :

— Filizofie królu wielki, nie wart byłbyś żyć na świecie, gdybyś to wyzwanie miał odrzucić. Choćbyś przeszedł całą ziemię od wschodu aż na zachód, to coś podobnego cię nie spotka, jak cię obecnie spotkało. Wiesz przecie, że masz pod sob sobą ludzi dosyć, którzy na każde skinienie twoje, gotowi są, dla ciebie krew swoją przelać ; wybierz sobie więc zaraz tych dwunastu rycerzy, aby się sprawa wnet skończyła.

Tedy też król Angielski dał odpowiedź

królowi Neapolitańskiemu, że wóli jego stanie się zadość i naznaczył termin walki za dwie niedziele. A skoro już konie z obu stron były uzbrojone w żelazne pancerze, wtenczas na przyległej łące wybrano obszerne miejsce do walki, które zostało łańcuchem otoczone, aby się ludzie cisnąć nie mogli.

A gdy dzień walki już się zbliżał, wtedy król Angielski wyjechał do swego wojska i wybrał dwunastu książąt i rycerzy najwaleczniejszych. I zawołał na jednego z nich, rzekąc:

— Symforyanie z Lewszyku, siadaj na swego konia i jedź tam na tę łąkę, a jeżeli zwyciężysz przeciw Sztylfrydowi, tak otrzymasz odemnie tysiąc dukatów.

Symforyan skoczył tedy dziarsko na konia i przyjechawszy na łąkę wyzwiał Sztylfryda do walki. A widząc Sztylfryd, że godzina do walki się zbliża, rozkazał przynieść sobie dwanaście lanc, a do każdej lancy kazał przybić chorągiewkę innej barwy. — A skoro już był ubrany w swój pancerz żelazny, kazał przyprowadzić sobie konia płowego i wsiadłszy nań, rzekł:

Boże Wszechmogący, raczże mi być pomocą dnia dzisiajszego, gdyż nie czynię tego ani dla własnej chluby, ani też za pie-

niądze, jeno dla czci i sławy mego języka sarmackiego i mojej ojczyzny.

I zawołał:

— Podajcie mi chorągiewkę biało-czerwoną, gdyż ta barwa oznacza wesołość i radość każdego dobrego Sarmaty.

A tak dosiagnawszy lancy z chorągiewką na której z jednej strony był wymalowany złoty krzyż a z drugiej wizerunek święty — pojechał wesoło na ową łąkę przeciw Symforyanowi.

Obaj rycerze rozpędziwszy się, uderzyli tak gwałtownie na siebie, że Sztylfryd zadał Symforyanowi głęboką ranę i daleko zrzucił go z konia. Potem Sztylfryd skoczył z konia i zaczął go mieczem walić a Symforyan nie mogąc się dłużej opierać, poddał się. Zebrani książęta ujęli Sztylfryda za rękę i wieszowali mu zwycięstwa i wesołogn z łąki razem z koniem Symforyana wyprowadzili.

A król Angielski zawołał na innego:

— Leopoldzie, wojewodo Rakuski, spróbuj no ty twojej siły, a jak długo żyję, będziesz się cieszył moją łaską.

Leopold skoczył na konia, wjechał na łąkę i wrzasnął na Sztylfryda te słowa:

— Powiadam ci Sztylfrydzie, że popamiętasz mej siły.

Sztylfryd zawołał:

— Podajcie mi chorągiewkę zieloną, gdyż ta barwa oznacza nadzieję dobrego Sarmaty a był na tej chorągiewce także krzyż złoty i wierunek przekрасny. A tak wezwawszy Boga na pomoc, wsiadł na konia płowego i z dobrą nadzieją na łękę wyruszył. Nastął bój a Sztylfryd Leopolda daleko z konia zrzucił i skoczywszy na ziemię, dobył miecza i zaczął go rąbać i ciężkie rany mu zadawać. Leopold nie mógł się już bronić, prosił go na miłość Boga, aby mu życie darował a Sztylfryd będąc zawsze wspaniałomyślnym, chętnie to ucznił i wesoło z łąki wyjechał.

Zaś król Angielski zawołał na innego rycerza:

— Gdzie jesteś Rudolfie nadziejo nasza? — preypomnij sobie waleczne czyny — niech też i Sztylfryde zazna twej siły.

A na to przybiegł Rudolf pośpiesznie do króla, zaś Sztylfryd obejrzał się i zawołał:

— Podajcie mi chorągiewkę barwy czerwonej, gdyż ta barwa zapala serce walecznego Sarmaty. — Uchwyciwszy lancę z czerwona chorągiewka z wielkim się gniewem

przeciw Rudolfowi rozpędził i przebiwszy go lancą z konia rzucił. — Ujrawszy to król Angielski wielce się zasmucił i zawołał:

— Gdzie jesteś Tapartycie grecki wojewodo? racz się namyślić, czy Sztylfrydowi miejsca dotrzymasz, a dam ci wolny przewóz przez morze.

Tapartyt jadąc na łąkę zawołał:

— Gdzie ty jesteś Sztylfrydzte? nie pomoże ci ani ten twój krzyż, ani ten wizerunek; będą ludzie o nas opowianać nowiny.

Usłyszawszy Sztylfryd takie obelgi, poruczył się Bogu i rzekł:

— Podajcie mi chorągiewkę koloru złotego, gdyż ta barwa oznacza stałość szlachetnego Sarmaty.

Tapartyt gniewnie krzycząc, wielkimi skokami pędził na łąkę. Ale też i Sztylfryd czasu nie tracił i puściwszy się przeciw niemu, wnet jego skoków ukrocił; swą lancą tak silnie go ugodził, że Tapartyt z konia zleciał, a ledwie dopadłszy ziemi, już i ducha wyzionął.

Wtedy zasmucony król Angielski zawołał:

— Waleczny Teobaldzie! zrób raz koniec z tym Sztylfrydem a podziękuje ci córka moja.

Tedy wyjechał Teobald na łąkę i zawołał :

— Stój Sztylfrydzie, nieuciekaj — to inaczej być nie może.

A Sztylfryd który wcale nieuciekał, rzekł :

— Podajcie mi chorągiewkę koloru modrego, gdyż ta barwa oznacza stałość szlachetnego Sarmaty.

Z podniesioną lancą puścił się galopem na łąkę, gdzie Teobald już czekał, ale zobaczywszy Sztylfryda zląkł się i zaczął uciekać a Sztylfryd wołał za nim :

— Stój a nie uciekaj !

Teobald jednakże wciąż uciekał a Sztylfryd gnał za nim aż ku wojsku, wreszcie dopadł go i ściał mu głowę.

Widząc to król Angielski, począł znowu wołać :

— Trystanie z Opoczan, zbierz wszystkie twoje siły, a jeżeli pokonasz Sztylfryda, dostaniesz sto koni i zawsze moim przyjacielem będziesz.

A Trystan pędząc na łąkę zawołał na Sztylfryda :

— Pamiętaj sobie, że skoku twego ukrócę, a matka twoja jeszcze dziś cię opłakiwać będzie.

Na to Sztylfryd odrzekł :

— Sam Bóg tylko wie, co się ze mną stanie i Jego też tylko o pomoc błagam. I rzekł dalej: Podajcie mi chorągiewkę błękitną gdyż ta barwa oznacza chciwość wojennego Sarmaty i tak silnie na Trystana natarł, że go daleko z konia rzucił i potem do swego króla powrócił.

A król odezwał się do niogo:

— Bądź pozdrowiony Sztylfrydzie, rycerzu miły, niechże ci Bóg wszechmocny błogosławi a jeżeli dokonasz dzieła, któreś rozpoczął, tak dokąd żyć będę chcę rozgłaszać twoję cześć i chwałę.

Wtedy zaś król Angielski zawołał:

— Piętopasie z Uradowa — wielu jest ludzi, którzy się o twoją cześć spierają, pokaz co umiesz a jeżeli Sztylfrydowi miejsca dotrzymasz, tak odemnie miasto w Anglii dostaniesz.

Pospieszył tedy Piętopas na łąkę, a ponieważ tam jeszcze Sztylfryda nie było, więc zawołał:

— Czy boisz się Sztylfrydzie, że się schowałeś?

A Sztylfryd odpowiedział:

— Bardzo mnie lekceważysz kochany Piętopasie, ale ja się tem nie zrażam; wskoczył na swego konia trzesąc się ze złości, zawołał:

— Podajcie mi chorągiewkę, koloru brunatnego, gdyż ta barwa oznacza gniew mężnego Sarmaty — i w tym gniewie na łąkę popędził. Widząc go Piętopas puścił się na przeciw niemu i zawołał:

— Broń się Sztylfrydzie, gdyż będziesz miał ze mną wiele kłopotu; — wtedy zbliżył się Sztylfryd do niego i tak silną zadał mu ranę, że daleko z konia zleciał; dobył Sztylfryd miecza i tak silnie go rąbał, że mu ręce i nogi odleciały, a w końcu przebił go mieczem i na swego konia skoczył.

Widząc to król Angielski, ze smutku począł omdlewać, ale pomimo tego jeszcze zawołał:

— Adryanie, Panie Afrykański, tyś zawsze był gotów na rozkazy moje, to też i teraz nie odmów mi posłuszeństwa i racz potykać się ze Sztylfrydem.

Ujrzał to Sztylfryd i zawołał:

— Podajcie mi żwawo chorągiewkę koloru fioletowego, gdyż ta barwa oznacza dzielność męża sarmackiego; — galopem puścił się na łąkę i jednym zamachem Adryana pokonał.

Król Angielski zaczął się bardzo niecierpliwić i wnet znowu zawołał:

— Margrafie Bryńdo, dosiądź twego konia; uderz na Sztylfryda z całą siłą i rzuć go z konia.

Bryńda wjechawszy na łąkę, rzekł:

— Sztylfrydzie — nie może się stać inaczej — musisz zginąć dziś z mojej ręki.

Sztylfryd zaś zawołał:

— Podajcie mi chorągiewkę koloru płowego, gdyż ten kolor oznacza silną wiarę męża sarmackiego.

Potem rycerze uderzyli silnie na siebie i po dłuższej walce margraf Bryńda razem z koniem został zabity.

Znowu król Angielski zawołał:

— Benedykcie, książę Tyrski, zróbże ty raz czyn rycerski; — Sztylfryd broni się za dzielnie, trzeba zranić go śmiertelnie.

Benedykt rozgniewany, pojechał na łąkę i na Sztylfryda zawołał:

— Wróć się, wróć się Sztylfrydzie, bo wierz mi, że ci tu zostać wypadnie.

Zawołał Sztylfryd:

— Podajcie mi śpiesznie chorągiewkę koloru siwego, gdyż ta barwa oznacza pokorę Sarmaty cichego: niech Benedykt się nie sroży — jego pycha mnie nie trwoży — i z wielką pokorą pojechał na łąkę. Benedykt gnał przeciw niemu z wielkim pędem,

ale wnet otrzymał ranę tak silną, że z konia zleciał i na miejscu ducha wyzionał. — Sztylfryd zaś jadąc z łąki, zmówił do Boga dziękczynną modlitwę.

Tedy król Angielski z wielkiem smutkiem zawołał:

— Ferenczu grafie Węgierski, niech cię chwali naród wszelki, każ twego konia osiodłać i racz się przeciw Sztylfrydowi wybrać.

A Ferencz z ochotą odpowiedział:

— Królu miłościwy — nich się stanie wola twoja — a skoro już był na łące zawołał na Sztylfryda; — nie odważ cię potykac zmną, bo nieszczęście się spotkaś może!

A Sztylfryd odrzekł:

— Sam nie wiem czemu właśnie ciebie Ferenczu miałbym błagać o życie, skoro już nawet i Rzymianie moja siłę i waleczność znają?

I zawołał:

— Podajcie mi chorągiewkę koloru szkarłatowego, gdyż ta barwa oznacza szczęście w walce rycerskiej.

Siadłszy na konia, spał go ostrogami i takim pędem puścił się na łąkę, że pod nim aż ziemia drżała a spotkawszy się z Ferenczem, tak szkaradnie mu lancą w brzuch zajechał, że tenże zemdlął i z konia zleciał;

wtedy Szttyfryd zlązł z konia swojego i przebił Ferencza swoim ostrym mieczem.

Widząc to król Angielski, z wielkim bolem zawołał:

— Ach biada mnie, biada — tyle smutku i nieszczęścia mnie spotkało, o czym uawet we śnie nie marzyłem. I rzekł do księcia Zebrzyda:

— Zebrzydzie Różany, ty moja największa pociecho; sprawa moja niestety tak stała, że jeżeli nie otrzymam od ciebie pomocy, tak będę się musiał poddać królowi Neapolitańskiemu; dla tego na ostatek do ciebie się udaję, abyś mnie ze smutku wybawił, gdyż na moim dworze nie mam nikogo, ktoby był od ciebie silniejszym; jeżeli zwyciężysz Szttylfryda, tak w obec Boga i zebranych tu rycerzy przysięgam ci, że dostaniesz połowę królestwa mojego i urodziwą córkę moją za żonę.

Zebrzyd odpowiedział:

— Choćbym miał na miejscu trupem zostać, tak przecie pragnę pokusić się o to.

Zebrzyd, książę Tamarski nader wspańiale się do walki przystroił; hełm jego błyszcział od złota a na tarczy jego znajdowało się w czerwonym polu ośmnaście złotych róż. W ziemi tamarskiej był on najpiękniejszym

mężczyzną a w ciągu życia swojego odzna-
czył się już wieloma czynami bohaterskimi ;
od stóp do głowy ubrany był w kruszcowy
pancesz, który był wieloma perlami i drogimi
kamieniami wysadzony. — Przeprowadzono
mu wreszcie wspaniałego rumaku rasy arab-
skiej, którego poglaskał i wsiadłszy na niego
uchwył złotą chorągiew i galopem puścił
się na łakę.

Przybywszy tutaj zawołał :

— Gdzie się podziałeś Sztylfrydzie ?
zdaje mi się, żeś się przedemną schował.
Chwalisz się, żeś pobił jedenastu a ja gotów
jestem pobić dwudziestu czterech takich, jak
ty jesteś. Wyjedźno tu śpiesznie, a biada
ci jeżeli się ze mną potykać zechcesz.

Usłyszawszy Sztylfryd takie obelgi, za-
śmiał się i rzekł :

— Nie rozumiem Zebrzydnie, dla czego
bym się nie miał bić z tobą ? — chyba może
dla tego, aby ci niuszkodzić wspaniałego
munduru, który się na tobie błyszczy. — Pa-
miętaj sobie Zebrzydnie, że jeżeli ci potrafię
dojechać, to tak jak deszczyk z nieba będą
prószyć różyczki z twojego pancerza ; niech
ci tam pomaga córka króla Angielskiego
ja zaś biorę na pomoc Pana i Boga mojego.
A wreszcie dosiadłszy swojego konia zawołał :

— Podajcie mi chorągiewkę koloru pło-
wego, gdyż ta barwa oznacza wspaniałość
i siłę lwa z którą teraz walczyć zamierzam.

I z wesołą miną pojechał na łąkę a ty-
siące ludzi przypatrywało się.

Wnet uderzyli obaj rycerze z taką siłą
na siebie, że lance ich w drobne drzazgi się
rozprysły a Sztylryd odniósł pierwszą lekką
ranę. I rzekł Zebrzyd:

— A co Sztylfrydzie? zdaje mi się, że
nie bardzo ci się to podoba; ale wnet po-
znacznę siłę moją jeszcze dokładniej.

A Sztylfryd odrzekł:

— Nie chwał się Zebrzydzie, bo ta rana,
którą mi zadałeś, wcale nie jest niebezpiecz-
ną; dosyć czuję, jeszcze sił do dalszej walki.
Ale popatrz no ty na twoją tarczę — zdaje
mi się, że czterech róz tam brakuje.

Teraz podano obom nowe lance, a ude-
rzywszy na siebie, obie lance się złamały
i obaj odnieśli silne rany a Zebrzydowi tar-
cza z ręki a hełm z głowy daleko odleciały.

Sztylfryd rzekł:

— Lubisz się chwalić Zebrzydzie, a
przecie tak posmutniałeś i wszystkie róże
z twej tarczy opadły. Gdyby to wiedziała
córka króla Angielskiego, to pewnie wzięłaby

ci to za złe, że takiemu prostaczkowi, jak ja jestem, dałeś się zranić.

Zebrzed odrzekł:

— Wierz mi Sztylfrydzie, że wielką byłoby dla mnie obrazą, gdybym się słabszemu miał poddać.

A Sztylfryd rzekł:

— Z woli Boskiej przekonasz się dziś jeszcze, że ani gorszym, ani słabszym od ciebie nie jestem i że we wszystkim ci wyrównać potrafię.

Teraz podali im po trzeci raz lance i znowu na siebie uderzyli a Zebrzyd otrzymał tak głęboką ranę, że zemdlął i z konia zleciał; w tem Sztylfryd z konia zeskoczył, dobył miecza i tak silnie zaczął go rąbać, że perły z jego pancerza na wszystkie strony pryskały. Atoli odzykawszy Zebrzyd przytomność, zerwał się na równe nogi i począł się dzielnie bronić i tak bili się od południa aż do wieczora a iskry z ich mieczów obficie się sypały. Król i księżęta bacznie się tej walce przyglądali, muwiąc:

— Szkoda przecie tych junaków, bo oni się na śmierć zarąbią.

A król Angielski napomniał Zebrzyda rzekąc:

— Daj już spokój tym zapasom waleczny Zebrzydzie, pomnij że córka moja o życie twe truchleje, więc sam śmierci dla siebie nie szukaj, przeciwnikowi twemu życie podaruj.

Zebrzyd odrzekł:

— Królu miłościwy — za chwilę zobaczysz, jak przedemną uciekać będzie.

A Sztylfryd odpowiedział na to:

— Samemu Bogu tylko wiadomo, co się wkrótce stać może. Łaski twojej nie potrzebuję, tylko Boga mojego na pomoc biorę i pychę twoją poskromię.

Znowu tedy rozpoczęli walkę i stało się że Zebrzyd otrzymał silną ranę i wskutek tego zaczął się cofać; wkrótce potem otrzymał Zebrzyd znowu rany w jedną i drugą rękę a nie mogąc miecza utrzymać, rzucił go i począł przed Sztylfrydem uciekać. Atoli Sztylfryd dopadł go i tak siekał swoim mieczem, że róże na wszystkie strony z jego pancerza przyskały. A będąc już całkiem krwią zbroczony, począł Zebrzyd wołać:

— Ach biada mi biada! wiele już razy walczyłem, ale taka klęska jeszcze mnie nigdy nie spotkała; skoro atoli już taka woła Boża, więc proszę cię Sztylfryzie, racz mi życie darować!

Wtedy przybliżyli się książęta i rycerze i prosili Sztylfryda mówiąc:

— Ponieważ ci się poddaje, więc zaprzestań walki i życie mu daruj.

Sztylfryd rzekł:

— Miłościwi królowie i książęta, ponieważ taka jest wola wasza, więc chcę darować mu życie — choć tak jest hardy i pyszny, że wartoby go inaczej ukarać.

A gdy się już walka skończyła, wtedy rzucił się Sztylfryd na kolana i podziękował Bogu Wszechmocnemu, że mu dopomógł do tak świetnego zwycięstwa. Potem rozkazał rozwinąć swoją chorągiew sarmacką, a był na niej z jednej strony kociół wymalowany. Widząc to zebrani królowie i książęta, wtedy dopiero poznali, że Sztylfryd jest księciem sarmackim i z wielkiem uszanowaniem wyprowadzili go pod jego chorągwią z owej łąki.

Teraz król Astronomus odezwał się w te słowa:

— Sztylfrydzie — Panie potężny — ogłaszam imię twoje wobec wszystkich książąt i obwieszczam wszystkim, że i ty jesteś udziałnym panem i księciem; nie dając się poznać, dokonałeś wielkich rzeczy z dwunastu sławnymi bohaterami; wszystkich zwyciężyłeś i z narażeniem życia własnego, mnie

się wiele przysłużyłeś. Przyjmijże za to przedewszystkiem moje królewskie podziękowanie. Gdybym był wprzód wiedział, że jesteś udzielnym księciem sarmackim, tak byłbym wolał stracić moje królestwo a nigdy nie byłbym na to pozwolił, abys dla mnie życie swoje narażał. — Ale skoro się już to tak szczęśliwie dokonało, przeto czego byś tylko odemnie pożądał — mało czy wiele — wszystko dostaniesz. I król Astronomus ujął go za rękę, posadził go obok siebie na swoim tronie i z radości się rozplakał.

Teraz przynieśli słudzy Sztylfryda jego bogaty mundur książęcy a inni książęta zgłosili się do niego z cennymi klejnotami, które mu w podarunku ofiarowali. Wreszcie przybył także pod swoim sztandarem król Angielski przed Astronoma i Sztylfryda, zdjął pokornie swoją koronę z głowy, padł na kolana i poddał się z całym swoim królestwem. — Tedy uradził król Astronomus z Sztylfrydem wrócić mu jego królestwo pod tym warunkiem, aby przeciw królowi Neapolitańskiemu nigdy więcej zbrojno nie wystąpił, — przeciwnie, żeby mu w razie potrzeby trzydzieści tysięcy ludzi na pomoc przysłał — zaś postawione jako zakład dwa tysiące koni, aby sobie napowrót zabrał.

I rzekł Sztylfryd:

— Miłościwu królu Astronomie, pamiętaj o tem, żeś mi dał pozwolenie, abym cię prosił o podarunek; o majątek nie dam, jeno dla uczczenia mojej mowy sarmackiej i jedynego syna mojego Brunewika, proszę cię, abys mi podarował herb króla Angielskiego, którym jest orzeł w złotem polu, gdyż chciałbym nosić go na mojej tarczy, zamiast tego tu kotła.

Król Neapolitański odrzekł:

— Zaprawdę, kochany Sztylfrydzie, nie tylko tego orła, którego swoją siłą i zręcznością wywalczyłeś, ale nawet połowę mojego królestwa chcę ci darować, gdybys tego zażądał.

I wnet rozkazał zmazać na jego chorągwi kociół a wymalować tam orła w złotem polu.

Sztylfryd pięknie podziękował i zaraz tę chorągiew pośpiesznie do swego kraju odeślał, w którym już od trzech lat nie był.

A dowiedziawszy się o tem inni panowie sarmaccy, wnet naprzeciw Sztylfryda wyjechali, a gdy jechali przez ziemię neapolitańską, tedy rozkazał król Astronomus, aby im wszędzie należyta cześć oddawano: A gdy się panowie ci nadto jeszcze dowiedzieli, że księżę ich tak wielką sławę dla narodu sar-

mackiego zdobył, tedy się tem wielce ucieszyli, a jemu jako swemu panu miłościwemu z pokorą dziękowali.

A gdy się już był przysposobił, aby z powrotem do swej ojczyzny wyruszyć, tak król Neapolitański wielce się tem zasmucił i rzekł :

— Sztylfrydzie, panie miły, serce mi się kraje na samą myśl, że się z tobą rozstać muszę; czy nie wołałbyś zostać ze mną, a tak jak rzekłem, odstąpiłbym ci połowę mojego królestwa, zaś po mej śmierci wszystkobyś po mnie odebrał.

Tedy odrzekł Sztylfryd:

— Dziękuję ci królu miłościwyj, proszę cię zarazem, abys nie wymagał odemnie, że bym jedynego syna mojego i ojczyznę moje miał porzucić.

Widząc król, że niczem nie zdoła namówić Sztylfryda do pozostania przy nim, rozkazał konie swoje osiodłać, służbę swoją zwołać i te dwa tysiące koni z całym rynsztunkiem przyprowadzić, które Sztylfrydowi darował. A wsiadłszy obaj na konie, wyruszyli na czele licznego orzaku złożonego z rycerzy i służby, ku ziemi sarmackiej.

Dowiedziawszy się mieszkańcy ziemi sarmackiej, że księżę ich wraca, tedy wielce się tem uradowili, bo też wielkiej przysporzył

narodowi sławy. — I rozkazał Sztylfryd na bramach wszystkich miast wymalować orla w złotym polu, dzwonić po wszystkich kościołach i śpiewać dziękczynne pieśni do Boga.

Wszyscy mieszkańcy stołecznego miasta wyszli z chlebem i solą daleko za miasto, aby przywitać swojego pana i złożyć mu hołd należny. Także i króla Neapolitańskiego Astronoma wielce uczcili i bardzo cenne dary mu ofiarowali, za co im król uprzejmie podziękował. A widząc, że młody Bruncewik syn Sztylfryda jest bardzo statecznym i cnotliwym młodzieńcem, tak postanowił zaślubić mu córkę swoją rzekąc:

— Bruncewiku, panie miły — będzie tobie zaślubioną piękna córka moja Neomania; niech waszemu związkowi Bóg raczy pobłogosławić.

Potem wyjechał król z powrotem do swojego królestwa.

Po niedługim czasie, cudownie piękna i urocza księżniczka Neomania została do Sarmacyi przywieziona i Bruncewikowi zaślubiona. Sztylfryd wyprawił ukochanemu synowi swojemu bardzo wspaniałe wesele które trwało przez dwa miesiące, a na które wielu książąt i panów, z daleka i z bliska się zjechało.

Potem rządził Sztylfryd krajem sarmackim jeszcze tylko lat kilka, bo siły wczesnie zaczęły go opuszczać, aż wreszcie jednego dnia zawołał syna swojego do siebie, porучył jego pieczy kraj i poddanych i Bogu ducha oddał, pozostawiając synowi ogromne bogactwa.

Teraz ogarnął cały naród wielki żal i smutek i przez długi czas oplakiwał go, jakoby ojca swego i najgorliwszego miłośnika swojej ojczyzny sarmackiej.



DRUGA HISTORIA.

Bruncwik, księżę i pan ziemi sarmackiej.

Po śmierci Sztylfryda objął rządy syn jego Bruncwik i sprawował je z taką samą pilnością i mądrością jak nieboszczyk ojciec jego. Był to księżę bardzo dobry i szlachetny, a każdy — czy to pan bogaty, czy osoba duchowna, czy wreszcie sierota uboga — każdy znalazł u niego posłuchanie i każdego też umiał uczyć według stanu jego. Jednem słowem rządził on krajem tak dobrze i rozumnie, że wkrótce imię jego daleko pozagranicami kraju sarmackiego było znane i chwalone.

A gdy upłynęły od śmierci ojca dwa lata i trzy miesiące, tedy zastanowił się Bruncwik nad tem, ile to dobrego ojciec jego swemi rycerskimi czynami dla kraju zrobił i rzekł do swej małżonki:

— Moja najukochańsza Neomanio, podaję ci do wiadomości, że postanowiłem szu-

kać czci dla mowy mojej sarmackiej, gdy nie godzi się żadnemu dobremu i porządnemu obywatelowi, abu umarł, nie pozostawiając nic po sobie pamiętnego. Dla tego też ojciec mój nieboszczyk rozkazał mi, i tak samo z czynów naszych przodków wynieśliśmy tę naukę, że gdzie tylko można, tak wszędzie trzeba zdobywać sobie cześć i dobre imię. Ojciec mój rycerskim swoim żywotem, zdobył sobie orła — a ja, jeżeli Bóg pomoże tak spodziewam się walecznością moją zdobyć lwa.

A zdjawszy złoty pierścień z swego palca rzekł dalej:

— Ten oto pierścień oddaję ci jako zakład, a mój pierścień z twojego palca biorę sobie — a to dla tego, żebyś nikomu nie wierzyła, gdyż ten pierścień, który ci jest dobrze znajomy, musisz kiedyś ujrzeć: gdybyś ale tego pierścienia po upływie siedmiu lat nie ujrzała, w takim razie będzie to dla ciebie znakiem, że ja już nie żyję.

Widząc Neomania, że małżonek jej żadnemi namowy nie da się odwieść od swego przedsięwzięcia, tak zaczęła serdecznie płakać i rozpaczać, mówiąc:

— Biednaż ja nieboga, biedna; któż mnie pocieszy mój ty najmilszy, jak ciebie

nie będzie? a ojciec mój i matka moja są odemnie tak daleko.

Brunewik odrzekł:

— Małżonko moja najdroższa — nie opuszczę ja ciebie tak lekkomyślnie, jak się tobie wydaje; właśnie chcę wysłać posłańców do ojca twojego z prośbą, aby tu przybyć raczył i podczas mej nieobecności był tobie doradcą przy sprawowaniu rządów. Nikomu też innemu, jedynie ojcu twojemu chcę ciebie powierzyć. A jeżeli tobie istotnie żal, że ja cię opuszczę, to wierz mi moja najdroższa, że mnie sto razy więcej żal. Ale inaczej być nie może.

Królewna Neomania odpowiedziała:

— Gdyby tobie było żal, tak byś i zdaleka rychło przybył, aby mnie pocieszyć ale ja niestety widzę, że mnie chcesz zapomnieć I płacząc rzewnie, objęła go za szyję i błagała go, aby się opamiętał i przy niej pozostał.

A Brunewik, któremu łzy w oczach stanęły, rzekł:

— Daremny twój płacz najmilsza Neomanio, gdyż to, co raz sobie ślubowałem, tego nie odmienię, bo jeżeli książę raz słowo wypowie, tak to słowo nigdy cofniętem być nie może.

I wysłał posłańców po jej ojca, króla Neapolitańskiego.

Wkrótce potem rozkazał osiodłać trzydzieści koni i puścił się w drogę; przejechał wiele krajów, dobywając wszędzie dobrej sławy dla swego imienia; jadąc wszakże wciąż dalej, dojechał wreszcie do morza i tu musiał się zatrzymać. Nad brzegiem morza rozbito czasowo obóz i po krótkim namyśle postanowił Brunewik wybudować wielki okręt. Do tego okrętu wsiadł on, służba jego i wszystkie konie i płynęli tak po morzu spokojnie już ćwierć roku. Jednej atoli nocy zerwał się wichur gwałtowny; morze zaczęło się straszliwie pienieć i burzyć, bałwany morskie rzucały okrętem, tak jakby igraszką jaką i zdawało się, że każdej chwili w drzazgi go rozbiją. Brunewik i jego towarzysze polecili Bogu dusze swoje, gdyż myśleli, że ostatnia godzina już dla nich wybiła. Na teraz jednakże uszli jeszcze śmierci szczęśliwie, atoli inne nieszczęście miało ich spotkać! Piszą bowiem o Brunewiku, że podczas tej strasznej burzy, okręt jego był gwałtownym wichrem tak silnie pędzony, że przybliżył się aż ku górze magnesowej a skoro marynarze z okrętu takie niebezpieczeństwo spostrzegli, tedy powstał między nimi krzyk

i płacz okropny i wszyscy wołali: „Ach nie-
szczęście nas spotkało!“ i tak się też stało.
Skoro bowiem byli oddaleni około pięćdzie-
sięciu mil od tej góry magnesowej, tedy
nader jaskrawy błysk poraził ich wzrok, woń
uderzyła ich nader silna, i w jednym okam-
gnieniu przyciągnięci zostali do tejże góry.

Owa góra ma bowiem taką moc w sobie
że wszystko do siebie przyciąga, co się tylko
na pięćdziesiąt mil do niej zbliży — bądź to
ludzi, ptaki, ryby, bądź też jakie potwory
morskie, a co się tam raz dostanie, to się
stamtąd więcej nie wydobędzie.

Góra ta położona jest na wyspie zwanej
Zielatorem, która jest podobna do rajy, bo
zawsze na niej ciepło, zielono i rozkosznie.

Tu musiał wylądować Bruncewik ze swoją
służbą a obejrzawszy się w około ujrział
muóstwo spróchniałych kości ludzkich. — Na
ten widok zrobiło się Bruncewikowi bardzo
markotno i gorzkie sobie robił wyrzuty,
mówiąc:

— Kto w domu spokojnie siedzi, ten
się złej przygody nie boji, ale też o niczem
opowiedzieć nie umie; ten zaś co po świecie
wędruje, umie drugim o niejednej przygodzie
rozpowiedzieć.

Dokąd mieli pożywienie, dotąd też zawsze byli weseli, ale skoro strawy nie starczyło, tak poczęli gorzko narzekać. Próbowali rozlicznych sposobów, aby stąd mogli odjechać, ale na nic to się nie przydało, bo skoro tylko na pół mili odyłynęli, tak jakaś niewidzialna siła okręt ich napowrót trąciła i w okamgnieniu znowu się na tej samej wyspie ocknęli. Nie wiedząc tedy co począć i będąc głodem morzeni, poczęli własne konie zabijać i jeść — i wciąż jeszcze wyglądali zmiłowania Bożego.

Razu jednego przechadzał się Bruncewik po tej górze i ujrzał potworne stworzenie, które miało panięską głowę, piersi i ręce i wyglądało do połowy jak kobieta, zaś druga połowa wyglądała jak ryba. Do tej potwory odezwał się Bruncewik i rzekł:

— Złe, czy dobre jesteś stworzenie? odpowiedz mi.

A ona mu rzekła:

— Bruncewiku! tak jak widzisz — nie jestem ani złe, ani dobre.

A Bruncewik pytał dalej:

— Czy mógłbym się też z tobą czasem pocieszyć?

A ona oopowiedziała:

— Czasem możesz, ale nie zawsze.

Usłyszawszy to Bruncewik, przebywał z nią czasem i tyle tylko miał tu przyjemności.

A gdy już wszystkie konie były zjedzone, tak poczęli sami siebie zjadać — wyglądając jeszcze wciąż Bożego zmiłowania.

Trzeci rok już się skończył, gdy Bruncewik sam jeden pozostał z jednym starym rycerzem, który się zwał Balad; ten to rycerz rzekł do Bruncewika:

— Panie miłościwy! o tem naszym nieszczęściu nie wie ani Pani twa miłościwa, ani twoi poddani.

Na to ze smutku zakręciły się Bruncewikowi łzy w oczach.

Balad rzekł dalej:

— Nie trap się Panie miły, bo może jeszcze nie rychło, ale z tego nieszczęścia wyjdiesz; ja już stary jestem, o przyszłość nie dbam i pewnie już tutaj zostanę, ale ty Panie, jak wrócisz do szczęścia, tak też wspomnij na mnie i na moją służbę wierną.

Bruncewik odrzekł:

— Wierny rycerzu mój! jakżeby się to stać mogło, abym się stąd wydostał, przecież każdy, kogo nieszczęście na górę magnesową zaniesie, ten tu wiecznie pozostać musi.

Balad zaś odrzekł:

— Jest jeden ptak, który się zowie Nuk, ma on ten zwyczaj, że co roku na tę wyspę przylatuje i jakie tu ścierwo zobaczy tak je w okamgnieniu w swoje szpony uchwyci i precz ztąd odlatuje, wiem nawet godzinę, w której się tu znowu zjawi; ten to ptak wyniesie cię stąd, jeżeli zechcesz, ale nie wiem, jak ci się potem wieść będzie.

Bruncewik zaś rzekł na to:

— Wierny Baladzie — i owszem, bardzo dobra jest twoja rada; nie byłoby mi żal nawet umrzeć, gdybym się jeno mógł stąd wydostać; — a może też udałoby mi się potem przecież wrócić jeszcze do mej ukochanej ojczyzny.

Tedy wziął Balad skórę końską i dobrze ją krwią nasmarował; do tej skóry, owinał Bruncewika i dał mu miecz do ręki; potem skórę zaszył silnie rzemieniem i położył na ową górę.

Dziewiątego dnia o tej samej godzinie którą Balad przepowiedział, przyleciał Nuk i w okamgnieniu pochwycił tę skórę w swoje szpony i odleciał z nią tak daleko, że człowiek zaledwie w trzech latach potrafiłby tam dojść piechotą, a Nuk tymczasem przebył tę przestrzeń w trzech dniach. Tutaj

miał on swoje gniazdo i rzuciwszy Bruncwika owiniętego w skórę swoim pisklętom na żer, wnet odleciał za nową strawą.

Bruncewik był tutaj w wielkim niebezpieczeństwie, bo młode ptaki były głodne, więc z całą siłą zaczęły szarpać skórę, krzyżąc przytem dziwnym głosem. — Nie widział tedy Bruncewik innej rady, jak tylko ze skóry wyskoczyć, dobyć miecza i ptaki pozabijać, a robota to nie była łatwa, bo głodne i drapieżne ptaki się bardzo broniły.

A piszą o tych ptakach w innych kronikach, że każdy był tak silny, iż na jednym pazórze konia uniósł, a tak był wielki, że z jednej góry na drugą potrafił kroczyć, a na każdej nodze miał po trzy pazóry. — Tych ptaków na szczęście nie było wiele, bo się same zabijały i pożerały. A gdy się udało Bruncewikowi z pomocą Bożą te młode pozabijać, tedy się sam takiemu zrządzeniu Opatrzności nadziwić nie mógł. I wyruszył z tego miejsca, z wielkim strachem biegł teraz przez puste góry, gdyż ani ptaka ani żadnego żywego zwierzęcia tu nie było, bo Nuk wszystko już był pożarł.

Dziewięć dni i dziewięć nocy szedł już tak Bruncewik i dopiero przyszedł do większych jeszcze gór i lasów, które także były

puste. Nareszcie przyszedł nad jedną dolinę z której dolatywał jego uszu grzmot i ryk wielki; spuścił się tedy do tej doliny i widział z bliska, jak tu lew walczył ze smokiem.

Zatrzymał się Bruncewik na chwilę i począł sobie tak myśleć:

— Mój miły Boże, którymuż z nich mam ja iść na pomoc? Wyjechałem z domu po to, aby lwa sobie zdobyć, a tu nie wiem czy wrócę jeszcze kiedy do domu; — ale niech się dzieje wola Boża, pójdę lwu na pomoc.

I dobył miecza, przyskoczył do smoka i rozpoczął z nim walkę, zasłoniwszy lwa. Walka ta była bardzo ciężka, bo smok miał dziewięć głów a z wzystkich zionął płomień, jakby z czeluści. Tedy ujrział się Bruncewik we wielkim niebezpieczeństwie, gdyż miał przed sobą smoka, który go płomieniem palił, a za sobą miał lwa, któremu także niedowierzał.

Widząc lew wielkie męstwo Bruncewika upadł na ziemię, aby sobie odpocząć, gdyż smok go bardzo potłukł, zaś Bruncewik walczył dalej bez przerwy i już był smokowi sześć głów odrębał. Teraz dopiero wpadł smok w gniew wielki i począł tak silnie

plómiem zionąć, że Bruncewik z omdlenia kilka razy na ziemię upadł i tylko już słabo się bronił. Ale za to lew odpocząwszy sobie, zerwał się na równe nogi i rzucił się z taką wściekłością na smoka, że go w jednej chwili na małe kawałki rozszarpał.

Gdy Bruncewik ujrzał, jaką siłę lew posiada, tedy zaczął się go bardzo obawiać, aby sobie i z nim także tak nie postąpił jak ze smokiem i zaczął się szybko oddalać chcąc się go pozbyć, ale gdzie tylko się obrócił, tak wciąż lwa za sobą widział.

Szedł tak przez kilka dni i ciągle nad tem myślał, jakby się go pozbyć; wreszcie nazbierał sporo żołądzi i bukwi (gdyż innego dożywienia tu nie było), naładował niemi kieszenie i wylazł na jedno bardzo wysokie drzewo, sądząc, że tym sposobem pozbędzie się lwa. Siedział tak Bruncewik na drzewie przez trzy dni i trzy nocy, jednakże lew leżał wciąż pod drzewem i rozżalony patrzył do góry, iż mu Bruncewik niedowierza; narreszcie z wielkiego żalu zaryczał tak okropnie i mocno, że aż ziemia pod nim zadrzała; Bruncewik zaś przestraszył się bardzo, spadł z drzewa i silnie się potłukł. Zobaczywszy to lew, odbiegł go szybko, wygrzebał kilka korzeni, przyniósł je w pysku i obłożył niem

Bruncwika, tak, że ten w krótkce wyzdrowiał. Chociaż lew Bruncwika z nieszczęścia wyratował, i bardzo się do niego przywiązał, to przecież jeszcze zawsze mu Bruncwik niedowierzał.

Gdy zaś potem Bruncwik nie mając co jeść, dostał z głodu silnych mdłości, tedy widząc to lew, pobiegł szybko w las, upolował sarnę, a powróciwszy z nią do Bruncwika, rozdarł ją na kilka kawałków. Wreszcie wziął jeden dosyć wielki kawał do swego pyska i począł oddychać tak gorącym oddechem, że wkrótce ten kawał sarny był upieczony a wtedy lew wyjął go z pyska i położył przed Bruncwika, aby jadł. Widząc tedy Bruncwik, jak pocziwem jest lew zwierzęciem, polubił go bardzo, lew też położył się obok niego; położył swą głowę na jego łonie i dał się głaskać.

A skoro się Bruncwik posilił, tedy wstał i szedł dalej między lasy i góry i błdził już tak całe trzy lata po tych pustych i wysokich górach, a lew tak jak pies najwierniejszy ciągle mu towarzyszył.

Razu jednego udało mu się wyjść na górę bardzo wysoką; będąc na szczycie tej góry, wylazł na najwyższe drzewo jakie tu było, i popatrzył w około, czy nie ujrzy też

jakiego miasta lub zamku. I rzeczywiście ujrzał daleko wśród morza wspaniały zamek. Spuścił się tedy na dół, upadł na kolana i prosił Boga, aby mu z tego błędzenia dopomógł, gdyż szedł tam, gdzie go oczy i myśl wiodła, ale nie wiedział dokąd idzie.

Teraz postanowił sobie zdążyć koniecznie do tego zamku, który zobaczył i zaraz puścił się w drogę; dopiero po piętnastym dniu wyszedł z tych pustych gór i stanął nad morzem, nad którym także żadnego nie było życia, tu dopiero zaczął myśleć w jaki sposób mógłby się dostać do tego zamku. Nie widząc innej rady, wrócił się do lasu i począł wyrębywać swoim mieczem kóry i gałęzie, a lew to wszystko na jedną kupę znosił. Z tego upłócił sobie szeroki prom i spuściwszy go na wodę, siadł sobie na nim; lew zaś wyszedł tymczasem do lasu za strawą i opóźnił się.

Tedy Bruncewik chciał skorzystać z tej chwili, aby się lwa na zawsze pozbyć i czempredziej oddalał się od brzegu. Wnet jednakże nadszedł lew, niosąc w pysku dzikiego wieprza i rozgniewany skoczył do morza i popłynął za Bruncewikiem, trzymając ciągle wieprza w pysku. Niebawem też dopłynął do promu i uchwycił się go przed-

niemi nogami. A gdy widział Brunewik, że lew w żaden sposób bez niego pozostać nie chce, tak mu sam dopomógł wydrapać się na prom. Teraz popadł Brunewik w nowe niebezpieczeństwo, bo lew bardzo był ciężki i wskutek tego prom zaczął zanurzać się dosyć głęboko w wodzie. W takim niebezpieczeństwie płynęli przez dni ośmnaście; Brunewik siedział na jednym końcu a lew na drugim, przez co powstała równowaga a tym sposobem jeden drugiemu utonąć nie dał.

Płynęli tak przez dziewięć dni i dziewięć nocy wciąż między górami wśród wielkiego zimna. Potem zbliżyli się ku jednej górze, która tak świeciła jakby płomień; góra ta zowie się Karbunkulus; jest ona bardzo jasna a jej światło przyświecało im, aż się z tych gór i miejsc ciemnych całkiem wydobyli.

A gdy się w pobliżu tego zamku znajdowali, tak nie mogli nadziwić się rozlicznym promieniom, które go otaczyły. Był to zamek cudownie piękny, atoli mieszkwały w nim rozmaite potwory morskie. I rzekł Brunewik sam do siebie:

— Niech się stanie ze mną co chce, ale ten zamek muszę ja zbadać.

A gdy już weszli na zamek, tak znowu ogarnął Bruncwika strach wielki, bo spostrzegł, że król tego zamku Olibryusz ma oczy z przodu i z tyłu, a palców po ośmnaście u każdej ręki i nogi; zaś około niego stali rozmaici ludzie; niektórzy o jednym oku, inni o jednej nodze; wielu zaś było takich co mieli rogi nad oczyma: inni znowu mieli duże głowy, a znów innych zdobiły takie garby jak u wielbłądów, lub też byli czerwoni jak lisy.

Na ten widok począł Bruncwika przejmować strach wielki, gdyż stworzenia te wyły, krzyczały, warczały i różne inne z siebie głosy wydawały, służąc każde w swój sposób swemu królowi. — Tak począł Bruncwik cofać się, chcąc się wydostać z tego zamku. Ujrawszy go jednakże Olibryusz odezwał się do niego w te słowa:

— Bruncwiku, imię twoje dobrze mi jest znane, ale to się jeszcze nigdy nie wydarzyło, aby się w naszych stronach, był kiedy taki człowiek pojawił i dla tego też pytam cię: czy przyszedłeś tu dobrowolnie, czy może jakie nieszczęście zagnało cię tu?

Bruncwik odrzekł:

— Królu miły — owszem całkiem dobrowolnie z mego kraju wyjechałem, ale w

podróży mej wciąż nieszczęśliwe przygody mnie prześladują.

I rzekł król Olibryusz :

— Wiedz kochany Bruncwiku, że tu z nami w wielkiej biedzie będziesz musiał przebywać. Mam ja jednakże córkę Afrykanę, którą przed trzema laty porwał smok i trzyma ją ua zamku zwanym „Arabia“ ztąd o trzysta mil oddalonym; jeźlibyś więc chciał się podjąć zadania, aby ją oswobodzić, tak ślubuję ci, że ci do twej ziemi dopomogę, a wypuszczę cię przez żelazne wrota.

Król Olibryusz posiadał władzę nad temi wrotami, a tylko przez nie mógł się Bruncwtk dostać do swojej ojczyzny.

Tedy odrzekł Bruncwik :

— Królu miłościwy — dziwno mi jest, że po raz pierwszy mię widzisz, a już mnie po imieniu wołasz — zaś co do córki twojej, to muszę otwarcie powiedzieć, że zachęcasz mnie do nader ciężkiej sprawy; chceszli jednakże uczynić mi to co mi obiecujesz, tak wezwę na pomoc Boga mojego i będę chciał pokusić się o uwolnienie córki twojej.

Trzeciego dnia rozkazał Bruncwik przygotować wielki okręt, naładował go żywnością na pięć miesięcy i wreszcie siadł weń ze swoim lwem i odjechał. Skoro przyплы-

nał pod ów zamek, którzy się zwał Arabią, a był zamkiem cudownie pięknym, tak przywiązał okręt u brzegu, wysiadł z niego i ruszył do zamku a łew za nim. Gdy przyszedł ku pierwszej bramie, tak ujrzał dwa okrutne zwierzęta, które były przywiązane na srebrnych łańcuchach i tego zamku strzeżły. Zwierzęta te nazywają się Monetros; są bardzo wielkie, głową ma każde jak człowiek, tułów jak koń, ogon jak u świni i są nader silne. Skoro ujrzały Bruncwika z jego lwem, tak zaczęły, się ruszać i szarpać z taką siłą, że cały zamek drżał w swoich posiadach.

Widząc to Bruncwik, dobył swego miecza i rozpoczął walkę na śmierć z temi zwierzętami; atoli wkrótce spostrzegł łew, że pan jego mdleje, tak z wielką siłą rzucił się na te zwierzęta i jedno po drugim rozdarł na dwoje. Zdobywszy tym sposobem pierwszą bramę, poszli teraz dalej i spotrzegli u drugiej bramy znowu dwie, ale jeszcze większe i silniejsze potwory, które nazywały się „Głato“ a każda z nich miała dwa rogi u głowy na dwa łokcie długie a ostre jak brzytwy. To zwierzę nie boi się niczego, jeno czerwonego koloru, a porusza się bardzo zręcznie, tak na lądzie jak i na morzu.

Tu znowu czekała Bruncwika ciężka praca a nie namyślał się długo, jeno wnet dobył swego miecza i rozpoczął tak gwałtowną walkę, że się cały zamek trząsał. Iżnowe wierny lew był mu nader pomocnym, gdyż wnet rzucił się na te zwierzęta i jedno po drugim rozdarł na dwoje, a tak została druga brama zdobytą.

Ruszyli więc teraz ku trzeciej bramie; tu ujrzeli kilka straszliwych zwierząt; jedne z nich miały sierść jak u niedźwiedzi, a rogi jak u diabła i wielkie czarne zęby, inne zaś podobne były do koni, wszyskrkie jednakże miały tak wielką paszczekę, że cały człowiek mógłby się w niej schować. Tych zwierząt bały się wszystkie inne zwierzęta ziemskie, a z nimi to rozpoczął obecnie Bruncwik walkę na śmierć. Wezwawszy Pana Boga na pomoc, przystąpił Bruncwik do dzieła i wnet zawrzała tak gwałtowna walka, że huk i trzask odbił się echem daleko po morskich zatokach. Ale też byłoby bardzo krucho z naszym Bruncwikiem, gdyby Bóg Wszechmocny nie czuwał nad nim i gdyby jego lew nie był mu towarzyszył. Lew także zebrał wszystkie swoje siły i bił się z taką wściekłością, że wkrótce wszystkie te potwory na drobne kawałki były rozszarpane. A zdobywszy tym

sposobem wszystkie bramy, wstąpili najprzód do piwnic, gdzie mnóstwo było nagromadzonego złota i srebra, ale ani żywej duszy tu nie zastali.

A gdy przyszedli na pierwsze piętro tego pałacu, tak ujrzeli nader piękną i urodziwą pannę, która jednakże tylko do połowy miała postać ludzką a zamiast nóg miała dwa długie a groźne ogony wężowate.

Ujrzawszy Bruncwika, przemówiła do niego te słowa:

— Młodzieńcze miły — stał się cud nad cudami, żeś tutaj przyszedł, ale powiedzże mi też którądy się tutaj dostałeś?

Bruncewik odpowiedział:

— Afrykano, panno miła, ojciec twój Olibryusz posłał mnie tutaj i ślubował mi wypuścić mnie przez żelazną bramę, jeżeli cię ztąd wydobędę.

A Afrykana odrzekła:

— O miły Bruncewiku, nie łatwa to sprawa — a gdybyś posiadał siłę nawet stu tysięcy ludzi tak nie radziłabym ci jeszcze bić się z tymi groźnymi potworami, które mnie strzegą. A dla tego powiedz mi Bruncewiku kochany, czy może zasnęły zwierzęta u pierwszej i ostatniej bramy, żeś tu przez nie tak łatwo doszedł.

— Spia — odpowiedział Bruncwik.

Tedy zaś rzekła panna:

— Skoro zwierzęta spia, tak Bruncwiku kochany, wybierz się zaraz z tego zamku i ojcu mojemu powiedz, że jestem zdrową i że jestem mu wdzięczną.

A Bruncwik odrzekł:

— Afrykano, panno najmilsza — będę żyć, lub też zginę — niech się stanie wola Boża, ale bez ciebie z tego zamku nie pójdę.

A gdy to panna słyszała, tak rzuciła na niego miłosne spojrzenie i posadziwszy go koło siebie z płuczem uścisnęła jego rękę, mówiąc:

— Miły Bruncwiku, skoro nie chcesz odejść stąd bezemnie, tak proszę cię, abys tylko spojrzal na mój pierścień. Gdy weźmiesz ten pierścień na palec, tak posiędziesz siłę czterdziestu mężczyzn, ale te potwory które mnie strzegą, posiadają taką siłę, że choćbyś i sto takich pierścieni wziął na swoje palce, to jeszczebyś im nie dał rady. Przecież ojciec mój wyłożył na to wiele tysięcy, chcąc mnie ztąd wydobyć, a ty sam jeden chciałbyś się o to pokusić? O nie dobry ojcie, wolałeś mnie sam zabić na swoim zamku, niż odnawiać mi taką boleść:

spójrzyj tylko mój miły Bruncwiku, na te złote pasy, któremi jestem owiązaną; zaś co dzień przyprowadza mój pan bazyliszek dwa brzydkie a wielkie gady i owija mi je na nogi aż do pasa. Przez noc i w dzień do południa jestem czystą i piękną panną, wolną od tych gadów, gdyż zwykle koło południa mój pan bazyliszek przywlecze się do mnie, kładzie się na mojem łonie, zasypia i leży tak ze trzy godziny. Za pół godziny przybędzie znowu i jeżeli nie oddalisz się ztąd zaraz, to twoje cierpienie i nieszczęście wnet się rozpocznie.

Usłyszawszy to Bruncwik, {wnet zaczął wzywać Boga na pomoc, aby go wyratował z tego nieszczęścia, a gdy się już ta chwila zbliżała, że smok-bazyliszek ze swej jaskini wyruszał, tak zatrzęsł się cały zamek.

W tej chwili też zaczęły robić gady taki pisk i grzmot, że gdyby czterech trębaczy trąbiło na trąbach, {to jeszczeby ich ten pisk i grzmot zagłuszył. — Wnet rzuciło się ze wszystkich stron mnóstwo gadów, jaszczurek i innych jadowitych potworów na Bruncwika, ale ten dzielnie się bronił swoim mieczem, ubijając po pięćdziesiąt gadów za jednym cięciem; jednak czem więcej ich ubijał — tem więcej {ich przybywało,

a były między niemi niektóre tak grube, jak polano i wszystkie krzyczały djabelskimi głosami.

Bruncewik jednak nie zważał na to, jeno walecznie się z nimi potykał i już prawie do pasa w jądzie brodził. A także i lew gady te zabijał i przez okno wyrzucał.

Widząc to bazyliszek, że Bruncewik tak jego służbę morduje, tedy wpadł w gniew wielki, najeżył swą złotą koronę i nadał się jak miech kowalski; miał on ośmnaście ogonów a pazóry posiadał tak ostre, że wielkie ciężary za jednym zamachem przeciąć potrafił. Miał też z nim Bruncewik biedę wielką, bo smok ranił go co chwila i powalił go kilka razy na ziemię. Widząc teraz lew, że pan jego słabnie, tak postanowił zastąpić go w walce i z niesłychaną drapieżnością rzucił się na smoka. Wkrótce zaś Bruncewik odpoczął i znowu z mieczem swoim na smoka się rzucił; tak jeden drugiego wyręczając, walczyli z smokiem od wieczora aż do południa dnia następnego.

Bruncewik będąc już całkiem krwią zbryzgany, zemdlał i upadł na ziemię, tak lew z większą jeszcze zapalczywością walczył dalej i w krótko smokowi wszystkie ogony oddał. — Za chwilę zaś Bruncewik odzyskał

przytomność i przyszedł do siebie; powstał tedy i znowu walkę rozpoczął, smok już atoli słabo się bronił i w krótcie lew rozdarł go na dwoje; wnet trysły z niego strumienie jadu, które potokiem rozlały się po zamku. A gdy już smok był zabity, tak Bruncewik od wielkich ran ponownie zemdlął i na ziemię upadł; leżał tak przez trzy dni i trzy nocy, nie przemówiwszy ani słowa; lew ani na krok go nie odstąpił i był bardzo zasmucony. Afrykana bardzo go żałowała i stojąc przy nim, rzewnie płakała.

Nie namyślając się długo, zerwał się lew i pobiegł do pobliskiego lasu, uzbierał tam różnych korzeni na lekarstwo i przyniósł je w pysku do zamku. Afrykana włożyła korzenie te do wrzącej wody i dała wody tej napić się Bruncewikowi; wskutek tego rany jego poczęły się goić i w dziewięciu dniach był zdrów zupełnie.

Tedy rzekł Bruncewik do niej:

— Afrykano panno najmilsza! Poświęciłem ja dla ciebie nie mało sił i zdrowia — dla tego nie namyślaj się dłużej, jeno zbierz się zaraz i pośpieszaj do twego ojca. —

A ona objąwszy go za szyję rzekła:

— O Bruncewiku najmilszy — jestem ci bardzo wdzięczną i chcę zaraz z tobą wy-

jechać. Zabrawszy tedy wiele złota i drogich kamieni, wyruszyli wkrótce do króla.

A gdy się już zbliżali do zamku, tedy król Olibryusz z wielką radością pośpieszył im naprzeciw i bardzo łaskawie przywitał Bruncwika, rzekąc :

— Witam cię Bruncwiku synu mój miły — wiedz, że chcę oddać ci córę moją za żonę i cały mój kraj.

A Bruncwik zgodził się na to, jakkolwiek nie bardzo chętnie.

Przebywszy z nim jakiś czas, znowu zaczął myśleć, jakby do swojej ziemi mógł się dostać. — A gdy się jednego razu przechadzał po zamku króla Olibryusza, tak zaglądnął do jednej sklepionej komory i ujrzał tam bardzo stary miecz bez rękojeści. Wyciągnął go stamtąd i oglądnąwszy go, bardzo mu się spodobał; zdjął tedy rękojeść ze swego miecza i przymocował ją do tego starego i włożył go w swoją pochwę, zaś swój miecz pozostawił w komorze.

Wieczorem tego dnia, będąc z Afrykaną sami, spytał jej się Bruncwik, jaki to może być miecz w tej komorze ?

Usłyszawszy Afrykana, że on o miecz pyta, tak zaraz powstała, wyszła po cichutku i tę komorę gdzie miecz był schowany

na dziewięć zamków zamknęła: wróciwszy potem do Bruncwika rzekła:

— Dziwna to rzecz, jak ty ten miecz ujrzałeś, gdyż już przez mnóstwo lat żadna męzka osoba go nie widziała; zdumiałbyś się, gdybyś się dowiedział jaką moc ten miecz posiada.

A Bruncwik rzekł:

— Panno najmiłsza — możesz mi przecież powiedzieć, gdyż masz go w swoim posiadaniu.

Skoro już koniecznie chcesz wiedzieć, tak powiem ci, że miecz ten taką moc posiada: — gdybyś go dobył z pochwy i rzekł: niech spadnie jedna głowa, niech spadnie dziesięć, sto, tysiąc głów — tak wszystkieby naraz pospadały.

Bruncwik nie chciał temu wierzyć i śmiał się z tego, ale pomimo to zapamiętał to sobie dobrze.

Jednego razu później przysły różne potwory morskie do samku, tak Bruncwik chcąc prawdy dociec, dobył miecz z pochwy i niby go oglądając, rzekł:

— Nuż teraz miły mieczu poćcinaj tym potworom głowy i w okamgnieniu wszystkim ile ich było, głowy odleciały; tym sposobem dowiedział się prawdy.

W kilka dni potem, gdy król ze wszystkimi przy obiedzie siedział, wtedy dobył Bruncewik miecza i rzekł:

— Nuż miły mieczu, zetnij teraz tym wszystkim głowy, co tutaj siedzą, nie wyjmując ani króla ani panny. I tak się też stało.

Naładował teraz Bruncewik do kilku worków złota i drogich kamieni za wiele tysięcy; otworzył sobie żelazną bramę, siadł na swój prom i odpłynął ztąd precz. Gdy już tak płynął dni kilkanaście po szerokim morzu, tak zbliżył się wreszcie do jednej wyspy, która zwała się Trypatrya.

Z wyspy tej doleciał go głos trąb i bębnow i rozmaite śpiewy; chcąc dowiedzieć się coby to było takiego, postanowił zatrzymać się i wyszedł na ląd; tu zobaczył mnóstwo żołnierzy od piechoty i od konnicy, którzy zaraz śpieszyli, aby go powitać, niektórzy z nich grali, niektórzy tańczyli, a wszyscy byli bardzo rozochoceni.

Bruncewik zatrzymał się i bardzo się temu zaczął dziwić, tedy przystąpił jeden żołnierz do niego i rzekł:

— Jak tu się dostałeś Bruncewiku? teraz musisz już z nami pozostać i tańczyć z nami, a podał mu rękę, która go bardzo spiekła.

Widząc Bruncwik, że i tutaj nie bardzo bezpiecznie, dobył swego miecza i rzekł:

— Niech tymu pierwszemu zaraz głowa spadnie — i tak się wnet stało. Widząc to inni żołnierze, że głowa na ziemi, tak rzekli:

O Bruncwiku! ty się już z naszych rąk nie wydostaniesz — ty musisz z nami tańczyć i na tych koniach jeździć.

Ci żołnierze byli djabłami Asmańcowemi i na tej wyspie się męczyli. Widząc tedy Bruncwik, że chcą mu gwałt zadać, tak dobył miecza i rzekł:

— Niech teraz tym wszystkim djabłom głowy podspadają! I znowu wszystkim głowy pospadały a on ze swym lwem siadł na prom i odpłynął ztąd precz.

Teraz znowu błędził po morzu przez niedziel piętnaście i już na dobre zaczęła mu się ta wędrówka przykrzyć. Nareszcie ujrzał miasto bardzo krasne, które tak lśniło się od złota i drogich kamieni, że na dziesięć mil świeciła od niego jasna zorza. Tu zatrzymał się Bruncwik i wszedł do tego miasta, które zwało się Agatanys; domy były tu wspaniałe, ale ludzi nie widział żadnych. Szedł od domu do domu; jedzenia i trunków znalazł wszędzie podostatkiem, ale nadziwić się nie mógł, że tu ani żywej duszy nie widzi.

Wreszcie usłyszał bardzo silny głos trąb i bębnow i za chwilę ujrzał liczne oddziały wojska, które do miasta wmaszerowały. Bruncewik poznał zaraz, że są to Astryolowie, czyli ludzie nic nieumiejący, którzy tutaj przebywali; spostrzegł też zaraz, że muszą być nie bardzo szczęśliwi. Ujrawszy go rzekli do niego:

— Bruncewiku nieboraku, powiedzże nam jak się tu dostałeś?

A on odrzekł:

— Wiem, że was się nie boję, choć was jest tak wielu.

Na takie śmiałe wyzwanie uchwycili go i powiedli go przed swego pana Astryola, który do niego przemówił te słowa:

— Bruncewiku, jeżeli nam nie będziesz ślubował, że wiecznie z nami pozostaniesz — tak rozkażę cię wsadzić na konia ognistego, na którym wiecznie goreć będziesz.

Bruncewik odpowiedział:

— Niewierny Astryolu! twej groźby się nie boję, gdyż ufam w pomoc Boga mojego, który mnie z wszelkich trosk i niebezpieczeństw wybawi. Ale ty zły Astryolu — tyś sobie na to zasłużył, ty musisz tu być i na wieki tu pozostaniesz.

Astryol zaś odrzekł:

— Jesteś hardej myśli — trzeba cię trochę poskromić.

Tu rozkazał przyprowadzić konia ogni-stego i zaraz przyskoczyło czterech żołnierzy, którzy Brunewika na niego wsadzić chcieli.

Nie mógł Brunewik dłużej wytrzymać; dobył miecz z pochwy i rzekł:

— Nuż — niech tym czterem głowy spadną i zaraz się tak stało a lew przyskoczył i rozszarpał je.

Widząc Astryol, że tu nie ma żartów, tak zwołał swoje wojsko i wnet obstało go kilkanaście tysięcy z wielkim krzykiem.

Tedy Brunewik znowu zawołał:

— Nuż teraz dwadzieścia — niech sto — niech tysiąc głów spadnie! I wnet lecące głowy sprawiły taki grzmot, że aż ziemia się trzęsła.

Widząc Astryol taką siłę Brunewika, rzekł do niego:

— Zaklinam cię na Boga twojego — miejże litość z nami a schowaj ten miecz; przyrzekam ci uroczyście zaprowadzić cię do twojej ziemi ojczystej, jeżeli przestaniesz mordować!

Brunewik tedy odrzekł:

Uczynię to dla Boga mojego, lecz nie dla ciebie; musisz atoli spełnić to, co mi obiecujesz — mianowicie musisz mnie i lwa mojego jak najspieszniej z wszelkimi wygodami odstawić do mego kraju rodzinnego.

Astryoljeszcze raz przyrzekł uroczyście uczynić to.

I stało się, że jednego czwartku wczesnie o wschodzie słońca znalazł się Bruncewik przed bramami swojej stolicy sarmackiej, która nosiła nazwę łacińską Karodun; przebrał się tedy w szaty pustelnika i wszedł do swojego grodu.

Ponieważ już siedm lat upłynęło, jak Bruncewik wyjechał, więc nikt go tu nie poznał i właśnie w tym czasie wydawał król Neapolitański córkę swoją, a małżonkę Bruncewika powtórnie za mąż za Kleofasa księcia Assyryjskiego.

Dowiedział się o tem Bruncewik i poszedł zaraz na zamek, gdzie się uczta odbywała a lew mu towarzyszył; ujrzał tu królową swoją, jak razem z Kleofasem siedziała za stołem i zrobiło mu się bardzo markotno; usiadł w przedpokoju i postanowił czekać. Gdy się uczta skończyła, wtedy roznoszono wino w srebrnych i złotych kielichach; Bruncewikowi podano kielich złoty z którego

pił także książę Kleofas i Neomania. Wypiwszy wino, zdjął Bruncewik pierścień z palca i włożył go do kielicha złotego i zaraz się z zamku oddalił.

Wychodząc z zamku, napisał na bramie te słowa: „Ten który przed siedmiu laty ztąd wyszedł, był dziś na zamku.“ I wnet poczęli ludzie o tem rozmawiać i badać, ktoby to mógł być. — Królowna zaś chowając tego dnia złote kielichy, znalazła w jednym ów pierścień i zaraz poznała, że on należy do jej ukochanego; książę Kleofas popadł z tego powodu w niesłychany smutek; wsiadł wnet z trzydziestu ludźmi na koń i puścił się w pogoń za Bruncewikiem, a dopędziwszy go chciał do zabić.

Widząc to Bruncewici dobył swego miecza i rzekł:

— Nuż temu nowożeńcy i jego służebnikom głowy na ziemię i wnet wszystkie głowy spadły na ziemię, a konie same się do miasta wróciły. — Potem udał się Bruncewik na inny zamek i potajemnie zaprosił do siebie wszystkich panów i szlachtę swojego kraju. Tedy wszyscy panowie i szlachta do niego z radością pośpieszyli, aby powitać swojego pana i księcia miłościwego i razem z nim do rezydencyi pojechali. — Król Astronomus z córką

Neomanią i wielu innych starych i młodych wyjechało im naprzeciw. W całym narodzie zapanowała radość wielka, gdyż książę lwa przyprowadził. — Miał też Bruncewik ciężką pracę, gdyż każdemu musiał, swoje przygody opowiadać, a przedewszystkim swojej ukochanej Neomanii, która ze wszystkich najwięcej była uradowaną.

Potem rozkazał Bruncewik, aby na bramach wszystkich miast był lew wymalowany a na chorągwi książęcej kazał również z jednej strony lwa wymalować.

Żył jeszcze czterdzieści pięć lat a potem umarł; pozostanowił wdowę i syna, który się nazywał Władysław.

Lew z wielkiej tęsknoty także dłużej żyć nie chciał; jednego razu zaryczał strasznie i padł nieżywy.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-380 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

Nakładem księgarni Kubaczki i Langa w
Białej wyszła bardzo przydatna książka, pod tytułem:

Samouczek rachunkowy

czyli

dokładam nauka rachunków oraz geometyi bez pomocy nauczyciela, dla osób wszystkich stanów i zawodów. Obejmuje całkowitą naukę rachunków od rzeczy najłatwiejszych do najtrudniejszych ułożoną w sposób jasny i zrozumiały. Zawiera około 500 zadań wraz z ich rozwiązaniem.

Wydanie drugie poprawione.

Format dużej 8mki; str. 256, z 23 rycinami geometrycznymi.

Opracował

BOLESŁ. MARCZEWSKI.

—• Egz. broszur. 4 K., — opr. 4 K 60 h. —•

F

23.388